

PSYCHIA

REVUE DE PSYCHIATRIE
ET DE NEUROLOGIE



Nr 25

1.X.1943.

6d.

1. ROCZNICA KAPITULACJI WARSZAWY.....	str. 1
2. ITALIA - JAKO SPRZYMIERZENIE.....	7
3. ANGIELSKA WYMOWA - A PISOWNIA.....	10
4. GENERAL CHIANG KAI-SHEK.....	14
<u>Nr. 25.</u> 5. PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA.....	18
6. HARA KIRI.....	23
7. TAJEMNICZA WYPRAWA DO RYZMU.....	24
8. CZY WIECIE, ŻE.....	28

OKŁADKA: Pałac Łazienkowski w Warszawie.
rysunek Olgierda Wojciechowskiego
/Może niedługo znowu ten pałacyk w naturze
ujrzymy i odetchniemy czystym łazienkow-
skim powietrzem/.

Numer następny /Nr.26/ ukaże się w sprzedaży
11 października r.b.

ZAGADKA JEZYKOWA DLA ZNAWCÓW
JEZYKA ANGIELSKIEGO.

Poniższa rozmowa miała miejsce na pogrzebie.
Pierwsze brakujące słowo, zaznaczone kreską, za-
wiera jedną literę. Drugie słowo zawiera dwie li-
tery, trzecie trzy litery i t.d. Każde następne
słowo zawiera wszystkie litery poprzedniego, wię-
cej jedna nowa litera. Jaka jest treść rozmowy ?
"- do not like --,"said the man with the black
---"The ---- may be impressive, but when you
----- a man, you ----- a ----- power of in-
vestigation ----- against ----- will
set in when the ----- of this fact is re-
vealed".

Za nadesłane do dnia 15.X.b.r.najlepsze rozwią-
zanie prześlemy nagrodę: książkę "Prisoner of War"
Z. Leszczyca. Rozwiązania prosimy nadsyłać łącznie
z umieszczonym poniżej kuponem.

Rozwiązanie i losowanie ogłosimy w numerze
dwudziestym siódmym dwutygodnika.

KUPON NA ZAGADKE DO NR. 25.

Rocznica Kapitulacji Warszawy.

Cztery lata mijają od chwili kapitulacji stolicy Polski. Przez cztery lata Warszawa goi swe rany, zadane jej w ciągu paru tygodni przez bezwzględnego i brutalnego najeźdźcę. Tych parę tygodni, które w swych skutkach były najstraszliwszymi w historii pięknego miasta.

Staramy się nieraz wyobrazić sobie, jak też wygląda Warszawa w chwili obecnej. Zastanawiamy się często, czy ofiara przez nią złożona, potrzebna była Ojczyźnie. Odpowiedź na to daje publikowany w swoim czasie w "Nowym Świecie" nowojorskim, artykuł Ignacego Matuszewskiego p. t. "Warszawa".

W artykule swym Matuszewski wyjaśnia, dlaczego zapadło postanowienie obrony Warszawy...

...Postanowienie to nie zapadło bez wahań. Nie znamy dokładnie rozmów, jakie miały miejsce między władzami wojskowymi, prezydentem Starzyńskim i przedstawicielami Rządu. Na zewnątrz wahania te odbiły się w nakazie ewakuacji z Warszawy wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni, odwołanym po dwudziestu czterech godzinach. Wahanie to odbiło się również na składzie wojska, które potem biły się o Warszawę i w Warszawie.

Nic w tym dziwnego, że nie od razu postanowiono obronę Warszawy. Od pierwszego dnia wojny widoczna była miazdząca przewaga liczebna lotnictwa niemieckiego. Przyjmowanie więc walki w mieście - było skazaniem go na zagładę. Jeśli obrona miała być prawdziwa i skuteczna, ruina musiała być straszliwa i zupełna. Już ze świtem pierwszego dnia wojny samoloty niemieckie zawisły nad stolicą. Przez pierwszy tydzień nie było dnia, w którym pod pogodnym niebem nie krążyłyby złośliwie ptaki zniszczenia, uderzające drapieżnie nie tylko w obiekty wojskowe, ale i w miasto same.

Postępowanie Niemców od pierwszej chwili krzywało wyraźnie, że nie można w żadnej mierze liczyć na rycerskość wroga. Było więc jasne,

że w razie obrony Warszawy Hitler będzie usiłował złamać stawiony mu opór terrorem, wymusić poddanie przez masakrę ludności, sparaliżować wojsko przez wywołanie paniki w mieście, płaczem dzieci zmusić żołnierza do kapitulacji.

Decyzja zatem obrony Warszawy nie była łatwa do powzięcia. Schemat wojskowy, rutyna strategiczna uczyły, że stolica jest takim samym "miejsce" na mapie", jak każda inna wioska czy osada, z obroną którego nie należy wiązać żywych sił armii: odwrót Kutuzowa jest teorii tej najklasycywniejszym przykładem. Zarazem istniała pewność, że w razie obrony Warszawy straszliwe okrucieństwo wojny zwali się całą grozą nie na wojsko samo, ale na całą ludność miasta - i powstało pytanie, czy można spodziewać się od bezbronnych mas, od kobiet, od dzieci, od wszystkich - tej żelaznej wytrzymałości, która jedyna obronie Warszawy mogła nadać sens. Brakło doświadczenia, jak wyglądać będzie milionowe skupisko ludzi, oddane - niemal bez obrony przeciw atakom z powietrza - na łup dziesięciokrotnej przewagi nieprzyjacielskiej. Zarazem widok płonących miast, gorzących wiosek, zamienionych w popiół osad, nie będących ośrodkami oporu, leżących daleko na tyłach walczących armij - dowodził, że decyzja obrony Warszawy skazywała milion skupionych tam ludzi na coś niewypowiedzianie straszliwego.

Nie wiemy dokładnie gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach zapadło postanowienie obrony Warszawy. Wiemy przecież, że do jego powzięcia przyczynił się prezydent Starzyński, który nie chciał, by skalano stolicę, dając jej prawa "otwartego miasta", który czuł, że Warszawie nie wolno przekreślić tradycyji, który wierzył, że tak jak on czują wszyscy jego współobywatele, który najtrafniejszym instynktem honoru przeniknął tę prawdę, że im trudniejsze jest położenie, im bardziej beznadziejny jest stosunek sił, im mniej prawdopodobna jest w czas okazana pomoc Zachodu, im rozpaczliwsza jest walka - tym bardziej wyrasta rola stolicy - jej odpowiedzial-

ność, tym niezbędniejszy jest opór, nie z wyniku rachuby, lecz ze wskazań honoru czerpiący siłę, tym ważniejszą jest dzisiejsza najwyższa ofiara dla przyszłego zwycięstwa.

Kiedyś historia odtworzy tę scenę, tę godzinę i tych ludzi, co pobierali decyzję. Jeśli kiedykolwiek popełnili jakiegokolwiek błędy - przyszłe pokolenia odpuszczają im je za mękę, w jakiej musieli postanawiać oddać krew i życie najbliższych, oddać na zniszczenie wszystkie widome skarby i pamiątki po to, aby raz jeszcze wrogowi, sobie i światu ukazać prawdziwe, niezłomne Polski oblicze. Aby, ubożąc straszliwie Polskę na ziemi - dzieje jej niezniszczalną chwałą wzbogacić. Wśród tych ludzi Stefan Starzyński pozostanie na zawsze największy, ponieważ brał na siebie odpowiedzialność nie za wojskowe, ale za stokroć trudniejsze moralne kierownictwo obrony. Kierownictwu temu do końca i wspaniale zadośćuczynił, i niewolę, a może i śmierć, najwyższy honor ven optacit.

Los, który wypadł Warszawie straszliwszy był niżli się spodziewano. Nie tylko bowiem wypadło jej, niedostatecznie obronnej, znieść oblężenie. Nie tylko wypadło jej bronić się nie licząc na odsiecz, co w porę nadejść może. Przypadek jej, po 17 września 1939 r., los - jakiego żadna inna stolica na świecie dotychczas nie przeżyła. Los okrutniejszy, niżli ten, jakiego doznali walczący na Termopilach żołnierze Sparty. Po 17 września 39 r. Warszawa została walczącą stolicą zajętego kraju. Z murów jej ogień odpowiadał odmową na propozycje poddania - tak właśnie jak odpowiada ogień z wieżyc tonącego statku, co już zanurza się pod wodą, a jeszcze nie porzucony przez załogę strzałami błyska. Jeśli gdziekolwiek nie tylko wytrwałość, nie tylko zaciekłość, nie tylko odwaga, nie tylko bohaterstwo jednostek, czy armii - ale jeśli gdziekolwiek na świecie miliony prostych ludzi dowieść miały, że honor jest im nie słowem, ale ciałem - Warszawa tego dowiodła.

Warszawa, co w dymiących swoich murach zamknęła honor nie tylko armii, ale Polski całej. War-

szawa, której ludność zrosła się z wojskiem w jedno. Warszawa, która pozbawiona Państwa - sama stała się Państwem, pozbawiona kraju - mówiła za kraj grzmotem armat, ogniem pożarów. Warszawa, która pozbawiona chleba walczyła bez chleba, pozbawiona wody płoneża i walczyła bez wody, pozbawiona nadziei - walczyła bez nadziei.

Niema miary na bohaterstwo, gdyż bohaterstwo jest zawsze jednakie. Ten, kto umiera za ojczyznę śmiało patrząc w twarz śmierci - umiera bohatersko i nawet jeśli jest wrogiem naszym, oddamy mu szacunek. Wolno jednak powiedzieć, że walka Warszawy nie ma sobie równych w dziejach tej wojny, a może nie ma równych w dziejach wogóle. Było to bowiem bohaterstwo nie jednostek, lecz milionów. Było to bohaterstwo nie tylko żołnierzy, lecz wszystkich jednak. I było to bohaterstwo pozbawione nadziei, bohaterstwo samemu sobie już tylko wierne, oderwane od rachub i rzeczy ziemskich, rozpadających się w gruzy w oczach ludzi, zapatrzonych w pozaziemską już prawdę, że warto składać ofiary z przeszłości i przyszłości własnej dla honoru narodu.

Prawda - i Warszawa złożyła broń. Złożyła broń bezużyteczną. Kiedy wystygły lufy dział, do których zabrakło pocisków, kiedy przestały strzelać karabiny pozbawione naboju - Warszawa kapitulowała. I wtedy dopiero ludzie płakali. Gdy nagła cisza zaległa nad miastem tak długo wstrząsanym hukami dział, kiedy otworzyło się nad nim ciche niebo, skąd przez tyle dni szedł bezustanny warkot, coraz niżej, coraz bezkarniej niosący śmierć - wówczas dopiero rozpacz przeszła serca, a żywi zazdrościć poczęli dziesiątkom tysięcy poległych.

Wiele stało i wiele stanie się w tej wojnie spraw straszliwych i wspaniałych. Po wielekroć słyszeć będziemy o czyimś bohaterstwie, o nowym świadectwie wielkości duszy ludzkiej. Sądzę przecież, że nigdy i nigdzie nie powtórzy się już ta olbrzymia, najwznioślejsza tragedia, przez Polaków w dziejach ludzkości stworzona:

obrona Warszawy.

Nie było bowiem - i nie daj Boże, aby była raz jeszcze - stolicy pozbawionej przez spisek zbrojnych sąsiadów całości własnego Państwa, stolicy nie czekającej już pomocy od dalekich sojuszników, stolicy pozbawionej chleba i wody, stojącej w płomieniach, których gasić nie było już można, grzebiącej swoich umarłych po ulicach, zmienionych w cmentarze.

Niema wdzięczności, jakąby naród mógł tym, co postanowili bronić Warszawy i tym, co jej do ostatniego bronili pocisku - za dzieło ich odpłacić.

Uczynili oni bowiem, poza i ponad postanowieniami traktatów Polskę równą najmożliwszym tego świata.

Jakikolwiek będzie układ sił w czasie wojny i po jej zakończeniu - ci co bronili Warszawy uczynili, iż przedstawiciel Polski może i winien przy każdym stole obrad zasiąść jak równy. Nie ma bowiem stolicy na świecie, której leżąca w ruinach Warszawa na zawsze nie byłaby równa. A niewiele jest takich, które jej równe będą.

Trzeba o tym pamiętać. I nie wolno, nie wolno o tym zapominać.

Italia - jako sprzymierzeniec.

Czas odgrywa wielką rolę nawet w życiu prywatnym każdego człowieka. Większą wartość posiada w pracach jednostki, przedsięwziętych na szerszą skalę, ale przeogromny wywiera wpływ na przebieg wypadków w kataklizmach dziejowych.

Szybka orientacja, błyskawiczne działanie zaoszczędza w wojnie dziesiątki tysięcy istnień ludzkich, a o całe miesiące może skrócić wojnę. Dzięki temu Hitler wygrywał wszystkie kampanie w pierwszych dwóch latach wojny. Niestety, tego rodzaju taktyka możliwa jest tylko w państwach rządzonych autorytatywnie. Gdy władza znajduje się w rękach wielu ludzi, różnica zdań nie pozwala na akcję szybką. Aczkolwiek w W. Brytanii

ostatnie słowo ma Winston Churchill, a w Ameryce prezydent Roosevelt, konieczność porozumienia pomiędzy tymi dwoma mężami stanu, powoduje zwłokę. Szczególniej w nagłych wypadkach.

Tak się też i stało ostatnio w Italii. Po upadku Mussoliniego, gdyby akcję rozpoczęto już po tygodniu, całe Włochy i część Bałkanów, przy współdziałaniu armii włoskiej, można było zająć nieledwie bez wystrzału i to w błyskawicznym tempie. Nie uczyniono tego, natomiast dano Niemcom bezcenne 5 tygodni do chwili lądowania w Kalabrii. Jak to Niemcy wykorzystali, wiemy z przebiegu wydarzeń. Nie mogli tego wykonać tak, jak by to było zrobione w 1941 roku, albowiem są zbyt osłabieni i zbyt zajęci gdzieindziej. Ale jednak potrafili zorganizować obronę opóźniającą, która Sprzymierzonych może zatrzymać na półwyspie do zimy.

Alianci wśród owacji i obrzucani kwiatami mogli spacerkiem przejść aż do rzeki Po, zając Albanię, część Grecji oraz Dodekanez. Obecnie trzeba będzie to wszystko zdobywać. Charakterystyczny artykuł na ten temat zamieścił "The Observer". Podajemy go przeto w całości. Jest on ciekawy tak pod względem taktycznym jak i politycznym.

Niemcy szybko uznali Włochów za swych wrogów, my powoli decydowaliśmy się na uznanie ich jako swych potencjalnych sprzymierzeńców. Stosownie do tego Niemcy działali szybko i celowo, my działaliśmy wolno i akcja nasza sprzeczną była z naszymi interesami.

Oficjalne relacje z przebiegu rokowań o zawieszenie broni są bardzo bolesne, gdy się je czyta. Okazuje się z nich, że mieliśmy podstawę, jeżeli nie obowiązek, do przeprowadzenia akcji w pierwszych dniach sierpnia, a nie dopiero we wrześniu. Miesiąc, stracony na nieco śmieszne pertraktacje, dał nam satysfakcję, że bezwarunkowe poddanie zostało przeprowadzone zupełnie formalnie. Ale ten miesiąc dał zato czas Niemcom na przetransportowanie do Italii kilkunastu dywizji i na

przygotowanie się do zduszenia Włochów siłą w momencie ich poddawania się Aliantom. Za zwłokę płacimy krwią brytyjskich i amerykańskich, no i również włoskich żołnierzy.

Jeszcze nawet dziś Niemcy nie stanęli mocną nogą w północnej i środkowej Italii. To samo dotyczy okupowanych przez Włochów krajów bałkańskich. Niemieckie triumfalne okrzyki są w dużym stopniu zwykłym blufem. Jeszcze wielką część półwyspu, jak również Rzym znajdują się pod zarządem włoskim. Taka sama zdaje się jest sytuacja w Piemontcie. W wielu miastach na północy, jako też i w Rzymie walki ciągle się toczą. Na wybrzeżu adriatyckim partyzanci jugosłowiańscy, przy pomocy oddziałów włoskich, okupowali porty Split i Susak, świetne bazy dla zorganizowania w nich punktów wypadowych do zaatakowania wrażliwych centrów niemieckiego wysiłku wojennego.

Nie należy czekać do chwili, aż się ostatecznie zorganizuje wyprawy do tych wszystkich punktów. Trzeba wyzyskać doskonale nadarzające się okoliczności. Nie pozwolić Niemcom złamać słabego oporu Partyzantów i Włochów, zmuszonych do poddania się, jeżeli nie otrzymają pomocy. W tym wypadku wszystko to będziemy musieli zdobywać od początku, kosztem wielkich ofiar. Należy wreszcie zrozumieć, że Włosi i Jugosłowianie walczą, jako nasi sprzymierzeńcy. Nie wolno nam zawieść pokładanego w nas zaufania. Musimy zorganizować błyskawicznie pomoc dla nich, aby nie stracili zdobytych pozycji.

Ludzie, którzy cieszą się z pozyskania Włochów jako aliantów, nazywani są sentymentalistami. Jest to nonsens. Polityka tych ludzi opiera się na wielkim realizmie. Sentymentalistami należy nazwać ludzi, którzy uważają, że trzeba przeprowadzić sąd nad faszystami i ich zbrodniami. Którzy nie widzą różnicy pomiędzy Mussolinim a jego zbuntowanymi ofiarami. Ci ludzie niczego nie mogą się nauczyć, gdyż nie potrafią oni zapamiętać rzeczy starych.

Obecnie możemy już zrozumieć pewne prawdy

dzisiejszej sytuacji i wyzyskać je na naszą korzyść. Potrzebne jest to dla pomyślnego prowadzenia dalszej wojny oraz utrwalenia się szczęśliwego i długotrwałego pokoju.

Dwa fakty rzucają się nam w oczy. Jednym jest to, że włoska armia nawet w chwili obecnej trzyma jeszcze wartościowe pod względem strategicznym punkty, które może każdej chwili utracić. Armia włoska jest słaba i źle wyekwipowana. Tym bardziej należy jej pomóc i wzmocnić ją w miarę możliwości. Niczego nie uzyskamy przez wypominanie im ich "słabości". Poza tym temperament Włochów w roli partyzantów może okazać się wielce pomocnym w naszej dalszej akcji.

Drugim faktem jest, że Italia dla W. Brytanii, jako potęgi morskiej na Morzu Śródziemnym, może stać się naturalnym sprzymierzeńcem. Lenin raz rzekł: "Geografia nie zmienia się". Położenie geograficzne Italii jest tym czynnikiem, który stwarza przyjaźń brytyjsko-włoską, niezbędną w przyszłości. Wszelkie możliwości przeprowadzenia tego w jaknajszyszym tempie powinny być popitane z uznaniem.

Angielska wymowa - a pisownia.

Po 3 latach pobytu w W. Brytanii i nauki języka angielskiego zdajemy sobie dzisiaj sprawę, że prawidłowa wymowa sprawia nam wiele trudności i jest sztuką nielada. Bardzo wielu Polaków powstrzymuje to od swobodnego i odważnego mówienia po angielsku. Obawiają się, że nie będą przez Szkotów czy Anglików zrozumiani. Dowiedzonym jest, że najlepszą metodą nauki języka obcego jest metoda słuchowa. Po teoretycznym opanowaniu języka i gramatyki i przyswojeniu sobie odpowiedniego zapasu słów, w dalszej nauce należy dużo słuchać ludzi, mówiących prawidłowo i wyraźnie po angielsku. Wielką w tym pomoc daje teatr oraz radio /speakerzy radiowi/. Następnie trzeba odważnie i możliwie często mówić po angielsku oraz słuchać własnej wymowy i korygować

ją. Głośne czytanie samemu, a potem z pomocą nauczyciela oraz rozmowa towarzyska - są doskonałym i nader korzystnym ćwiczeniem. Rzecz prosta, że ludzie, posiadający przyrodzony słuch muzyczny, osiągną daleko szybsze rezultaty. Lecz każdy zwykły śmiertelnik, mający przeciętnie wyrobiony słuch, spostrzeże szybko, że przy tej systematycznie stosowanej metodzie, jego wymowa ulega stałej poprawie. Nie trzeba się tylko zrażać popełnianymi błędami i nieporozumieniami, ale mieć odwagę mówienia.

Że wymowa angielska jest trudna, świadczy fakt, że sami Brytyjczycy często pomiędzy sobą nie mogą się zrozumieć. Dla wypuklenia tego faktu, streszczamy interesujący artykuł z "News Chronicle" p.t. "CAN WE SIMPLIFY PRONUNCIATION?".

Ostatnie przemówienie Winston Churchilla w Ameryce na temat metody Basic English ośmieliło zwolenników wprowadzenia fonetycznej pisowni.

Dowodzą oni, że jeżeli język angielski ma stać się językiem powszechnego użytku w świecie, trzeba pisownię angielską tak uprościć, aby cudzoziemiec potrafił wymawiać z łatwością każde słowo.

Autor twierdzi, że stosowanie uproszczonej pisowni może być wprowadzone tylko w wypadku, jeśli ogólnie zostanie przyjęta prawidłowa wymowa słów i liter angielskich. Lecz obecnie, nawet na wyspach brytyjskich, jest taka różnorodność akcentów i sposobów wymawiania, że mieszkańcy różnych hrabstw często nie mogą zupełnie siebie zrozumieć.

Kiedy autor po raz pierwszy przyjechał do Londynu i żądał dziennika "Outlook", to zwykle sprzedawca wręczał mu "Echo". Oczywiście każdy z nich znał prawidłową pisownię słów "outlook" i "echo", lecz wymawiali je tak odmiennie, jakby mówili dwoma różnymi językami.

Jaki będzie pożytek z uproszczonej pisowni, jeżeli wymowa słów pozostanie różna?

Słowo "home" jest wymawiane w Szkocji jak "hame /hejm/" i podobno szekspirowska Anglia również tak je wymawiała. Jak więc będą je pisać zwolennicy uproszczonej pisowni?

Jak napiszemy Glasgow? Czy "Glasgo", czy też "Glesgie"? Czy London powinno się pisać "Lundon" czy też "Lunnon"? Czy Wales /Walia/ będziemy pisać "Walls", czy też "Wiles"? Bez ujednostajnienia wymowy nie można uprościć pisowni. Można np. pisać "tho" zamiast "though", albo "plow" zamiast "plough".

Lecz poza tym istnieją setki, a może nawet tysiące słów, których nie można będzie napisać tak uproszczonym sposobem, aby prawidłowa wymowa ich narzucała się sama przez się wszystkim mówiącym po angielsku.

W jaki sposób na przykład zwolennicy uproszczonej pisowni potrafią odróżnić "for" od "four"? Na południu Anglii oba te słowa, według tak zwanego Oxfordzkiego akcentu, wymawiają się jednakowo. Niektórzy Brytyjczycy wymawiają nawet je jak "faw". Lecz w Belfaście i w wielu innych miejscach "for" wymawia się z krótkim "o", a "four" z długim "o" i obydwie słowa kończą się na "r", które jest dobitne jak warknięcie psa.

Autór przytacza wypadek swego przyjaciela, który studiował w Londynie. Pewnego razu skarżył się on swemu gospodarzowi, że cierpi na ból głowy /"headache"/. Wymawiał to słowo "heddick". Gospodarz zrozumiał, że młody człowiek zjadł na obiad "haddock'a" /ryba morska/, który mu zaszkodził i wobec tego wyraził mu swoje współczucie. Z wielkim trudem udało mu się wytłumaczyć, że chodzi o ból głowy. Nagle olśniony gospodarz zawołał: "oh, pan chciał powiedzieć "edyke/edaj". Jak należałoby, według zwolenników uproszczonej pisowni, uprościć słowo "headache"?

Kto potrafi zdecydować, jaka ma być prawidłowa pisownia różnie wymawianych nazw miejscowości, np. Cirencester albo Daventry? Autora uczonego wymawiać Cirencester jak "Cisseter". Lecz kiedy przejeżdżał kiedyś przez tę miejscowość

pociągiem, portier kolejowy wykrzykiwał nazwę tej stacji wyraźnie jako "Sirencester".

Innym razem jeszcze przed wojną autor jechał samochodem do Daventry. Po drodze kilka razy zatrzymywał się i pytał starszych wiekiem przechodniów o drogę do "Daintree". Nikt z pytanym nie słyszał nawet o takiej miejscowości. W końcu zainteresowano młodą dziewczynę, robiącą wrażenie bardziej wykształconej i ta zawołała: "oh, pan ma na myśli "Dav-an-try"! Wtedy dopiero bez wielkiej trudności autor trafił do poszukiwanej miejscowości.

Jeżeli język angielski ma się stać językiem powszechnym dla całego świata, to nie trzeba chwilowo reformować pisowni, lecz przede wszystkim starać się przekonać ludzi, mówiących tym językiem, aby każde słowo wymawiano w jednakowy sposób. Albo Anglicy muszą się nauczyć wymawiać "h" w słowach "why" i "what", albo też Szkoci i Irlandczycy muszą się nauczyć wymawiać je jak "wy" i "wat".

Amerykanie muszą nauczyć się angielskiej wymowy słowa "schedule" zamiast "skedule", albo też Brytyjczycy uczą się wymawiać je na sposób amerykański.

Dla narodów nie mówiących po angielsku nie pisownia, lecz wymowa sprawia największą kłopot przy nauce angielskiego. Czy ktokolwiek słyszał Francuza, gdy próbował wymówić słowo "Birmingham" albo "Llanfairfechan"?

Jeżeli cały świat zacznie mówić po angielsku, to wymowa będzie tak różnorodna, że ludzie z poszczególnych krajów nigdy się nie zrozumieją. A wprowadzenie uproszczonej pisowni doprowadzi do tego, że każdy kraj będzie pisał według własnej wymowy. Z czasem wytworzy się amerykański, angielski, szkocki, francuski i chiński dialekt języka angielskiego. Dialekty te staną się niezrozumiałe i obce dla czytelników w innych krajach. Nastąpi podobny proces jak po upadku imperium rzymskiego, gdy z łaciny wytworzyły się z biegiem czasu różne języki /włoski, fran-

cuski, hiszpański, portugalski itp./.

Autor w końcu twierdzi, że podoba mu się obecna pisownia angielska właśnie dlatego, że jest tak bezsensowna. Również podoba mu się pisownia języka gaelickiego, gdyż jest bardzo rozumna. Np. - w języku gaelickim "O'Duffy" pisze się: "O Dhubhthaig".

Logicznym jest Gael /Szkot celtyckiego pochodzenia/, a nielogicznym Anglosas. Jest między nimi właśnie ta różnica, która powstrzymuje nas, abyśmy nie stali się standaryzowanymi robotami. I jest przeto nadzieja, że angielski jeszcze przez wiele stuleci pozostanie takim, jakim jest obecnie, a guma indyjska będzie się pisać "caoutchouc", a nie "kauczuk", jak np. piszemy po polsku.

Gen. Chiang Kai-Shek.

Przed paru tygodniami generał Chiang Kai-Shek został obrany prezydentem Chin. Umieszczamy dziś jego sylwetkę według książki chińskiego pisarza S. I. Hsiung p. t. "THE BIG FOUR".

Chiang Kai-Shek urodził się przed 56 laty w południowo-wschodnich Chinach. Rodzice jego należeli do zamożnej klasy. Gdy Chiang ukończył 9 lat umarł mu ojciec, lecz matka dała mu bardzo staranne wykształcenie. Jeżeli w mieście pojawił się jakiś słynny uczony, młody Chiang Kai-Shek zostawał natychmiast jego uczniem.

Mając lat 15 Chiang został uczniem mistrza Ku, człowieka o dużej wiedzy i nowoczesnym, postępowym kierunku myślenia. Uczony ten wpoił w młodego ucznia przekonanie o bliskim upadku rządzącej wówczas dynastii mandżurskiej oraz zaszczerpił w jego umyśle prądy rewolucyjne.

Od swego nauczyciela dowiedział się Chiang o aresztowaniu przez ambasadę chińską w Londynie Dr. Sun Yat Sena, późniejszego twórcę republiki chińskiej, oraz o jego zwolnieniu wskutek interwencji rządu brytyjskiego. Fakt ten napełnił młodego Chianga wielkim uznaniem dla brytyjskiej

konstytucji. Postanowił wtedy zostać wyznawcą programu politycznego Dr. Sun: obalić panowanie dynastii mandżurskiej i wprowadzić demokratyczną konstytucję w Chinach.

Mając lat 18 wyjechał na północ i został uczniem akademii wojskowej w Pao Ting. Szybko wyróżnił się tam i został wysłany do Japonii dla pogłębienia studiów wojskowych. W Japonii zapisał się do partii rewolucyjnej, późniejszego Kuo-Ming-Tang'u i od tego czasu wszystkie swe siły poświęcił wyzwoleniu i oswobodzeniu chińskiego ludu.

Już w owym czasie cesarstwo chińskie chyliło się ku upadkowi. Rządy objęła okrutna i samowolna cesarzowa-wdowa. Kolejno wyznaczała ona trzech chłopców jako dziedziców tronu chińskiego: swego syna i swego siostrzeńca, obydwuch słabowitego zdrowia, a wreszcie półgłówek Henryka Pu Yi. Gdy w 1911 r. Kuo-Ming-Tang rozpoczął rewolucję, sytuacja wewnętrzna Chin zupełnie do niej dojrzała. 25-cio letni Chiang kai Shek pospieszył z Japonii, aby wziąć udział w rewolucji.

Z garstką ludzi przy boku walczył on bohatersko przeciwko setkom i tysiącom żołnierzy cesarskich. Wkrótce zdobył Szanghaj i opanował całą sąsiednią prowincję.

Po obaleniu dynastii Manchu i zwycięskim zakończeniu rewolucji, Chiang powrócił do Japonii dla dokończenia studiów wojskowych, nie czekając na nagrodę za swój udział w rewolucji.

Lecz kraj potrzebował ludzi tego pokroju, wkrótce przeto został on wezwany przez Dr. Sun Yat Sena i zdecydowanie walczył z samowolą prowincjonalnych gubernatorów. Gdy w 1926 r. zmarł Dr. Sun Yat Sen, Chiang Kai-Shek na czele stosunkowo małej armii rozpoczął ekspedycję karną w północnych Chinach, celem obalenia okrutnych rządów gubernatorów.

Od początku rewolucji wojna domowa w Chinach trwała prawie bez przerwy przez 15 lat. Gubernatorzy północnych i środkowych Chin dysponowali wspólnie półtora-milionową armią, to znaczy

dziesięciokrotnie większą, niż siły Chiang Kai-Sheka. Lecz Chiang nie wahał się rozpocząć tej wojny. Wiedział on doskonale, że popiera go cały naród, nienawidzący rządów wojskowych gubernatorów. Miał więc poparcie 450 milionów Chińczyków, serdecznie oddanych sprawie, przeciwko półtora milionowi wyczerpanych wojną żołnierzy.

Dążąc do zjednoczenia Chin, musiał zgodzić się na współpracę z chińską partią komunistyczną. Bronił komunistów przed atakami konserwatywnych Chińczyków, ale przepędził ich, gdy chcieli uchwycić władzę w swe ręce i walczył, gdy wywołali otwarty bunt przeciwko rządowi. W końcu zgodził się z nimi współpracować, gdy przekonał się, że uznali jego zwierzchnictwo we wspólnej walce z najeżdżącą japońskim.

W grudniu 1936 r. cały świat dowiedział się z gazet, że głowa rządu chińskiego, gen. Chiang Kai-Shek, aresztowany został przez tych żołnierzy, którzy byli wysłani przez niego do walki z komunistami. W 3 tygodnie później, gdy obawiano się już o jego życie, nadeszła inna wiadomość, że ci sami żołnierze, którzy aresztowali Chiang Kai-Sheka, zaprzysięgli mu posłuszeństwo i jeden z nich przyleciał z nim samolotem do Nanking.

Wyjaśnienie tej sprawy było proste. Zarówno komuniści, jak i żołnierze, wysłani do walki z nimi, chcieli przeciwstawić się inwazji japońskiej, która groziła wówczas całym Chinom, potrzebowali oni jednak stanowczego i zdolnego dowódcy. Takim dowódcą był jedynie Chiang Kai-Shek, lecz podejrzewano go, że nie chce on prowadzić wojny z Japończykami. Postanowiono więc w prymitywny, komunistyczno-żołnierski sposób zmusić Chiang Kai-Sheka do walki przez przyłożenie mu bagnetu do piersi.

Pomyłono się jednak całkowicie sądząc, że tą drogą zmusi się Chiang Kai-Sheka do czegokolwiek. Przez cały czas przygotowywał on się do walki z Japonią, lecz uważał, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment do jej rozpoczęcia.

Odmówił więc jakiegokolwiek poparcia nierozsądnych projektów swych niezdiscyplinowanych żołnierzy. Przykładał on więcej wagi do dyscypliny wojskowej i szlachetności swych postanowień, aniżeli do ceny swego życia. Siła jego charakteru podziałała na zbuntowanych i skłoniła winnych do skruchy i posłuszeństwa.

W czasie wojny domowej lotnictwo było jeszcze luksusem. Obie wojujące strony posiadały niewiele samolotów. Inaczej wyglądała ta sprawa w japońskiej armii. Gdy zagroziła inwazja trzeba było na gwałt tworzyć potężne lotnictwo.

Tego rodzaju krok sprowokował Japonię do przyspieszenia inwazji. Lecz Chińczycy postanowili się bronić.

Na 50-cio lecie urodzin Chiang Kai-Sheka w całym Chinach rzucono hasło, aby naród chiński w kraju i za granicą ofiarowywał mu samoloty, jako upominki urodzinowe. Odzew Chińczyków na to hasło był zdumiewający: wkrótce zakupiono setki samolotów. Bez wielkiego rozgłosu Chiang Kai-Shek dokonał w Nankingu generalnego przeglądu harcerzy chińskich, przybyłych z całego kraju. Wkrótce potem wprowadził on wyszkolenie wojskowe we wszystkich szkołach i uniwersytetach chińskich.

Te dwie sprawy utorowały drogę do zarządzenia powszechnej służby wojskowej dla wszystkich mężczyzn. Uczniowie i studenci potrzebowali już tylko krótkiego przeszkolenia wojskowego.

Zarządzenia i przygotowania Chiang Kai-Sheka przekonały Japończyków, że nie mogą odkładać dłużej swej inwazji. Tak więc zaczęła się wojna. Japończycy sądzili, że wybrali odpowiedni moment i że w kilka tygodni podbiją całe Chiny. Dlatego to nazwali tę wojnę: "chińskim incydentem". Niestety, trochę się pomylili. "Incydent" trwa już siedem lat i wcale nie widać jeszcze jego końca. W każdym razie ten koniec, który kiedyś szczerze nadejdzie, nie musi być zwycięskim dla Japończyków.

"Żołnierzy polskie! szkoda przelewać waszej krwi!... itd. miasto Lwów jest oddawane wojskom ruskim itp."

Żołnierze śmieją się z polszczyzny i ulotki właściwie żadnego wrażenia nie wywierają.

Przed wsią czeka na nas jeden z kwatermistrzów. Melduję majorowi, że pułkownik dowiedział się o zbliżaniu się bolszewików i rozkazał bez zatrzymywania maszerować dalej do następnej wsi, oddalonej jeszcze o 5 kilometrów.

Sytuacja jest poważna. Maszerujemy już bez przerwy 24 godziny. Na drodze pozostaje coraz więcej maruderów i żołnierzy, opadłych zupełnie z sił. Polecam szefowi pozostać z wozami i zbierać co się da ludzi, a następnie przywieźć ich do następnej wsi.

Klniemy i idziemy. W połowie drogi do tej wsi spotykamy naszych, uciekających w przeciwnym kierunku.

- Co się stało?

- Bolszewicy zajęli wieś!

Masz babo placek!

Wysyłamy patrol. Rzeczywiście we wsi czołgi bolszewickie i piechota. Auto z pułkownikiem wpadło. Pułkownik w niewoli.

Chwilę błąka się rzucona przez kogoś myśl atakowania wsi, ale major T. ze zniechęceniem ją odrzuca. Przecież nasze wojsko to już tylko korowód wyczerpanych do ostateczności automatów ludzkich, niezdolnych już właściwie do żadnej akcji. A tu jeszcze czołgi!

Przygnębieni kompletnie wykonujemy odwrót. Cofamy się do pierwszej wsi i wystawiwszy ubezpieczenia tak od wschodu jak i od zachodu, śpiemy. Musimy również uważać na mieszkańców, bo przy wkraczaniu, spotkani jesteśmy wybuchami dwóch, rzuconych ze wsi granatów ręcznych. Ze nie zostaliśmy tej nocy zaskoczeni, przypisać należy dużej dozie szczęścia, bo ubezpieczenia też spały.

czworoboku. Major przemawia do całości wyjaśniając sytuację i komunikując naszą decyzję.

-... pamiętajcie, że jesteście żołnierzami i jak chwila nadejdzie, macie się wszyscy stawić. 43 pułk Bajonczyków nie przestaje istnieć! Pamiętajcie również to miejsce gdzie zakopujemy broń, bo ta chwila nadejdzie!

Potem ja żegnam swoją kompanię i "weteranów z Lublina", i nowoprzybyłych. Wielu żołnierzy płacze. Potem "prezentuj broń, "Jeszcze Polska nie zginęła" i "Boże coś Polskę", a na koniec, "plutonami, zakopać broń i rozejść się".

&

& &

Jedziemy wozami w kierunku na Szczebrzeszyn. Jest nas kilkadziesiąt, a w tym 8 oficerów i 1 podchorąży. Zamiast drużyn są wozy po 4-5 żołnierzy. Dowódcą wyprawy jest kapitan P., któremu major ustępuje dowództwo dobrowolnie.

Przekraczamy Wieprz, wypadamy na dobrą drogę i w chwili, kiedy na drodze nie widzimy żadnych samochodów, ostrym kłusem przecinamy Szczebrzeszyn. Ludność oczekująca wkroczenia bolszewików, którzy rzekomo są tuż tuż, ze zdumieniem ogląda nas. Przelatujemy jednak miasteczko bez zatrzymania się i po chwili jesteśmy znowu między lasami.

Jedziemy dalej, skradamy się i znów jedziemy, trudno powiedzieć gdzie, ale w kierunku na Zakrzówek.

Dnia 28 września, przekraczamy w galopie, wóz za wozem, szosę Lublin-Kraśnik, po której jeżdżą samochody niemieckie i za nią wpadamy na jakąś ich placówkę. Zaskoczenie kompletne. Otwieramy ogień i po chwili znowu okładając konie, walimy dalej.

Potem Wąwolnica i konferencja z dzielnym wójtem gminy co do kierunku, i znowu dalsza jazda na północny wschód.

Muszę tu podkreślić bardzo obywatelskie i patriotyczne stanowisko chłopów w tej okolicy, którzy jak np. jakiś gospodarz za Szczebrzeszynom,

Dnia 26 września cofamy się znowu, pierwotnie w kierunku Suchowoli potem skręcamy na bezdroża i kluczymy między jakimiś wsiami, których nazw nie pamiętam, szukając wyjścia na północ. Wyjścia tego niema.

W pewnej wsi natykamy się na Niemców, ale kilku strzałami spędzamy ich.

Po tym spotkaniu przychodzą do mnie dwaj oficerowie żydzi, kapitan G., były dowódca piątej kompanii i podporucznik P. Starają się nakłonić mnie, abym interweniowałam u dowódcy batalionu o poddanie się bolszewikom. Wyczuwam, że panicznie boją się niewoli u Niemców, ale staram się ich przekonać, że przecież wojna nie skończona i nie widzę powodu do poddawania się komukolwiek.

Dnia 27, marsz trwa nadal. Ogólny kierunek północny zachód.

Po przeprowadzeniu wywiadu na Szczebrzeszyn, major zwołuje odprawę oficerską. Dwóch brakuje. Niema kapitana G. i podporucznika P. Znikli w nocy. W Szczebrzeszynie Niemcy, wyjścia dla batalionu major nie widzi i wzywa oficerów do stawiania wniosków.

Kapitan P. i ja proponujemy batalion rozformować, stwarzając z niego oddział ochotniczy /moja kompania ma takich amatorów sporo/ z którym próbować przedostać się do Warszawy, wykorzystując wozy. Może nawet wcześniej spotkamy jakieś oddziały walczące. A możliwość dołączenia do obrony Warszawy uważamy za ostateczność, gdybyśmy nie spotkali takich oddziałów.

Resztę ludzi zwolnimy, aby po wspólnym zakupieniu broni samodzielnie przedostawali się do domów.

Wniosek nasz przyjęto i po południu wprowadzamy go w czyn. Sierżant szef zbiera wszystkie wozy, których jest 14 i obsadza wybranymi ludźmi.

Robimy w kompaniach zbiórki i wypłacamy żołnierzom, otrzymane przez majora od jakiegoś przybłąkanego obcego płatnika, pieniądze.

Potem następuje zbiórka całego batalionu, w

nie tylko kwaterowali nas ale i karmili, i nas i konie, nie żądając zapłaty.

Koło Wąwolnicy gubią się dwa wozy, a przed przekroczeniem szosy Lublin-Puławy, jeszcze jeden. Szosę tę długo oglądamy, leżąc w krzakach i obserwując ruch na niej. Samochody niemieckie krążą tam i z powrotem. Jeden z oficerów zwraca naszą uwagę, że z rkm'u łatwoby było stąd wszystko to "przyhamować". Ale dopóki nie nawiązaliśmy łączności ze swoimi, niema to sensu i starcie przyjmujemy tylko w razie konieczności.

Szosę przekraczamy w ten sam sposób jak koło Zakrzówka i przez pola, oddzielające nas od widocznych na horyzoncie lasów, gonimy całą siłą okładowanych koni.

W jakiejś wsi, na wysokości Puław czy Dębina, zdzieramy wywieszane już niemieckie rozporządzenia o oddawaniu broni. Ludność obserwuje nas częściowo ze zdziwieniem, a częściowo ze strachem.

Ciągniemy w kierunku Sobolewa. Ze względu na konieczność przeprowadzania wywiadów, nasze przemarsze dzienne nie są zbyt wielkie.

Pierwszego października po wymianie strażaków z niemieckim oddziałem /placówką/ przy przekraczaniu rzeki, nocujemy w lesie nadleśnictwa państwowego Garwolin. Dnia 2-go października zawijamy do majątku w okolicy Baranowa. Tu wzbudzamy przerażenie. Właścicielka błaga nas, abyśmy się z folwarku wynieśli i tłumaczy, że Warszawa padła. Zgruchotana zupełnie przez bombardowania poddała się i jest już od kilku dni zajęta, więc nie mamy gdzie jechać. Jak objaśnia nas krewny właścicielki, przybyły bryczką z Wołynia, cały wschód Polski jest już zajęty przez moskali.

Całą noc nie śpimy i radzimy. Wieść o zajęciu Warszawy jest dla nas ciosem miazdzącym. Dochozimy ostatecznie do przekonania, że dalsze poszukiwania nasze są już bezcelowe, i że musimy się ostatecznie rozproszyć.

Dnia 3 października zakopujemy resztę broni, pistolety, lornetki i żegnamy się między sobą.

Wojna na teraz skończona!

N I E W O L A.

Przebrani w chłopskie ubrania, jedziemy we czterech przez Baranów, Garwolin do Warszawy.

Mam na sobie porządny chłopski kożuszek i maciejówkę, a z wojskowych rzeczy jedynie wyfasowane w Hrubieszowie filcowe buty. Mam również w kieszeni zdobyty, w pamiętnym lesie Tarnawatki, niemiecki aparat fotograficzny.

Dzisiaj, jak się zastanowię, że dla takiego głupstwa życie ryzykowałem, to sam sobie wydaję się lekkomyślnym, ale wtedy dominowała myśl, że przecież muszę synowi coś z wojny przywieść. Coś co udowodni, że tatuś nie tylko rzeczy gubił i uciekał.

Jest nas czterech. Major, porucznik z I batalionu, podchorąży i ja. Konie zmęczone, ale chcemy choćby ostatkiem ich sił dowiec się do Warszawy, jaknajprędzej, aby zdążyć tam przed zainstalowaniem się administracji cywilnej. Wojsko pyta tylko o broń.

Porucznik wystroił się na takiego żebraka, że obawiam się, że przesadził. Major i ja wyglądamy na poważnych gospodarzy. Podchorąży, w żydowskim wyświechtanym garniturku, na zbiedzonego uciekiniera miejskiego.

Ponieważ w okolicy Wąwolnicy kupiłem całą paczkę suchych liści tytoniowych, na których siedziemy obecnie, więc palić mamy co. W Warszawie podobno głód, niema żywności. Chcąc poratować rodzinę, w Baranowie kupiłem garnek smalcu i kilka półci słoniny. Pod Warszawą już, podchorąży napępnia na polu, gdzie kopią kartofle, jeden worek /ile może udźwignąć/ i też ładuje na wóz.

Teraz byle się dostać.

Kapitan P. i Niedziałkowski pociągnęli na Puławy-Radom. Doktor z jednym podporucznikiem postanowili, przed daleką drogą do Cieszyna, wypocząć w jakimś znajomym majątku koło Sobolewa. Sierżant Żyła, poszedł na Śląsk, a z nas, trzech jedzie do Warszawy, a podchorąży do Częstochowy.

d. c. n.

Hara-kiri.

Tajemnicza śmierć admirała Isoroku **Yamamoto**, jednego z lepszych japońskich strategów morskich objaśniana była różnorodnie. Jeden z b. czołowych korespondentów amerykańskich w Japonii rzekł, że Yamamoto często powtarzał, iż raczej odbierze sobie życie, aniżeli straci choćby kawałek zdobytego przez Japonię terytorium.

W tej wojnie wielu już oficerów i żołnierzy japońskich popełniło t.zw. "honorowe samobójstwo". Zawodowych oficerów brano do niewoli albo w stanie zamroczenia lub ciężko rannych. Jeden z komunikatów z Tokio podał, że chorzy i ranni żołnierze na wyspie Attu, popełnili samobójstwo przed ostatecznym atakiem Amerykan - przypuszczalnie na rozkaz swych dowódców. Załogi zes-trzelonych japońskich samolotów na Pacyfiku nie skorzystały z rzuconych im przez Amerykan lin ratunkowych. Wreszcie wielu oficerów odebrało sobie życie przez hara-kiri po amerykańskim nalocie na Tokio, albowiem cień samolotów padł poprzecznie na cesarski pałac.

Hara-kiri jest jednym z typowych starożytnych zwyczajów japońskiej kasty panującej. Tak zwani samuraje od najwcześniejszej młodości os- wajani są z wszelkimi szczegółami tej tragicznej ceremonii. Technika samozniszczenia tak mocno wyciska się w wyobraźni chłopięcej, że gdy ja- poński oficer staje przed problemem popełnienia samobójstwa, robi sobie hara-kiri z zupełnie zimną krwią.

Generał Ogawa opowiedział historię popełnie- nia samobójstwa przez jego ojca. Cała ta cere- monia odbyła się na jego oczach.

"Mój ojciec wezwał mnie do siebie i oznajmił mi, że jest zmuszony połączyć się z duchem ge- nerała Nogi, który za życia był jego przełożo- nym. Życzył sobie **mojej obecności** i w ra- zie, jeżeli nie potrafi wykonać hara-kiri w od- powiedni sposób, ażebym dobił go ciężkim rodzin- nym mieczem".

"Na uwagę moją, iż jest jeszcze stosunkowo młodym człowiekiem /liczył 51 lat/, odpowiedział mi, iż całe życie służył z gen. Nogi i walczył z nim razem w wielu bitwach, musi więc i teraz udać się za nim w krainę śmierci".

"Po kąpieli ubrał się w białe kimono i przygotował wszystko, co było potrzebne dla dopełnienia ceremonii. Wyjął oprawny w złoto krótki miecz, zwany "wahazashi", i obwinął rękojeść i górną część ostrza śnieżno-białym kawałkiem płótna. Powoli wbijał miecz głęboko z lewej strony swego brzucha, po czym rozpruł go aż do brzegu strony prawej. Obrócił następnie ostrze i przejechał nożem z powrotem. Oblicze jego było blade i naprężone, gdy odrzucił miecz od siebie. Obserwowałem go z uwagą, ale nie spostrzegłem najmniejszej oznaki słabości, która byłaby dla mnie sygnałem, ażeby ciąć go mieczem po szyi. Tak, był on wielkim żołnierzem i prawdziwym samurajem".

Taką to historię opowiedział generał Ogawa, dowódca dywizji japońskiej piechoty dwudziestego wieku. Opowiadał ją z dumą i spokojem, jakby to nie dotyczyło wcale jego ojca. Jakby akt pozabawienia się życia przez najbliższą mu osobę był rzeczą najpowszedniejszą w świecie.

Cała ta mentalność jest zupełnie poza możliwością zrozumienia jej przez zachodnią umysłowość. W jej niesamowitości jednak leży właśnie potęga narodu i trudna do rozgryzienia zagadka.

Tajemnicza wyprawa do Rzymu.

Z powodu nadzwyczajnego rozwoju lotnictwa i radiofonii, wojna obecna obfituje w możliwości organizowania nie tylko wszelkiego rodzaju wypraw wojskowych, mających na celu dywersję, wywiad czy nieoczekiwany atak wojsk spadochronowych, ale daje również sposobności do wysyłania pojedynczych ludzi, mających za zadanie przeprowadzenia narad z przyjaciółmi, przebywającymi w środku okupowanego przez nieprzyjaciela kraju.

Taka wyprawa zorganizowana została w roku u-

biegłym przed lądowaniem w Północnej Afryce, a przed paru tygodniami gen. Eisenhower delegował w wielkim sekrecie dwóch swych oficerów do Rzymu.

Korespondent Reutera w ten sposób opisuje przygody gen. Maxwell Taylora, dowódcy amerykańskiej dywizji spadochronowej i jego towarzysza pułk. lotnictwa W. Gardinera.

Sprawę spotkania w Rzymie omówiono jeszcze podczas konferencji w Lizbonie. Wyprawa do stolicy Włoch, w której roiło się od szpiegów niemieckich, nie należała do zbyt bezpiecznych przedsięwzięć. Obaj oficerowie pojechali w mundurach lotnictwa, broniących ich przed rozstrzelaniem jako szpiegów w razie uchwycenia ich przez Niemców. Zdawali oni sobie sprawę, jak potraktowanoby ich w wypadku niepowodzenia i nakrycia.

Possiadali przy sobie pistolety automatyczne i gen. Taylor ze śmiechem twierdził potem, iż byli oni pierwszą "siłą zbrojną" Aliantów na terenie Rzymu.

Po spędzeniu części nocy w Palermo, o godz. 2-3 zostali przewiezieni łodzią motorową na wysepkę Ustica, leżącą w pobliżu Sycylii. O świcie załadowali się na włoską korwetę, która przewiozła ich przez Tyreńskie Morze do portu Gaeta, leżącego na północ od Neapolu.

Tam po wyładowaniu zameldowano ich, jako alianckich lotników, wyłowionych z morza i wziętych do niewoli. Samochód, który ich zabrał, skierowany został początkowo na pustą drogę, po czym dopiero skręcił na właściwą szosę, prowadzącą do Apijskiej drogi. Na skrzyżowaniu czekała limuzyna z mroźnym szkłem - takim właśnie samochodem wywożono z Rzymu Mussoliniego.

Po przebyciu około 70 mil, samochód bez wypadku dojechał do Rzymu. Po drodze spotkano niewielu niemieckich żołnierzy, ale napisy, umieszczone z boków szosy wskazywały, że w pobliżu znajdują się obozy wielkich niemieckich jednostek. Na drodze nie było przeszkód a ruch cywilny nie był ograniczony.

Przybyto do Rzymu o zmroku i obaj oficerowie

umieszczeni zostali w kryjówce, składającej się z dwóch sypialni. Przed ich drzwiami postawiono na straży posterunki wojskowe.

Wogóle organizacja wyprawy była bez zarzutu. Gen. Taylor rzekł: "Gdyby Włosi tak doskonale poprowadzili walkę przeciw Niemcom, jak potrafili zorganizować to spotkanie, byłoby to wielką pomocą dla nas".

Oficerowie włoscy przyjęli wysłanników doskonałym obiadem i świetnym winem. Uprzejmościom nie było końca. Byli weseli i swobodni i zupełnie nie przejmowali się faktem niedalekiej chwili, w której nastąpią walki w samej już Italii.

Wobec jednak nagłości sytuacji, gen. Taylor nalegał na jaknajszysze przeprowadzenie spotkania z włoskim naczelnym dowództwem.

Około północy przewieziono ich do luksusowej willi, zajmowanej przez marszałka Badoglio. Amerykańscy oficerowie zajęli miejsca w głębi samochodu. W drodze, poprzez zaciemnione ulice Rzymu samochód często zatrzymywany był przez gęsto rozstawione posterunki wojskowe, lecz siedzący na przodzie oficer włoski z łatwością uzyskiwał wolny przejazd.

"Nie odczuwaliśmy absolutnie żadnego niepokoju," rzekł gen. Taylor. "Widząc jednak ostrożność i zde nerwowanie otaczających nas Włochów, raczej przypuszczaliśmy mogące nam grozić niebezpieczeństwo. Nieświadomość tego niebezpieczeństwa pomagała nam zachować absolutny spokój".

Przydzieleni Włosi mieli jednak podstawę do niepokojenia się. Zdawali oni sobie doskonale sprawę, że w razie przychwycenia ich w towarzystwie Amerykanów, Niemcy zrobiliby z nimi krótką sprawę.

Po przybyciu na miejsce, oddalone od kryjówki o blisko 20 mil, eskortujący wyższy oficer wszedł pierwszy do marsz. Badoglio i miał z nim dość długą konferencję. Potem dopiero wprowadzono do gabinetu obu wysłanników.

Badoglio zrobił na Amerykanach wrażenie "bardzo starego człowieka". Rozmowa prowadzona była po francusku. Gen. Taylor rozmawiał, a płk. Gardi-

ner notował.

Badoglio wyraził swą całkowitą chęć współpracy z Aliantami przeciw Niemcom i przysięgał na swój żołnierski honor iż zawsze to było jego intencją.

Po przeprowadzeniu długiej rozmowy i detalicznym omówieniu wszystkich warunków najbliższej współpracy, Amerykanie poprosili o pozwolenie przetelegrafowania odpowiednich szyfrów do gen. Eisenhowera, po czym powrócili do swej kryjówki.

Około 11 przed południem dnia następnego Włosi powiadomili ich, że mogą powracać do swej Kwatery Głównej. Przygotowany został odpowiedni samolot transportowy, mający zabrać ich wraz z wysłannikiem marsz. Badoglio i tłumaczem.

Wsiadli w podwórzu do innej krytej limuzyny i poprzez Rzym skierowali się na lotnisko w Centocello, oddalone o jakie 35 mil.

Po drodze samochód został zatrzymany z powodu przemarszu większego oddziału Niemców.

"Widzieliśmy ich przez szyby wozu i nieledwie mogliśmy dotknąć ich rękami, gdy przechodzili tuż obok", rzekł gen Taylor.

Zdała od budynków i ludzi czterej oficerowie załadowali się na samolot, który wystartował o 5-ej po południu.

Patrolujące alianckie samoloty miały rozkaz niezbliżania się do włoskiego transportowca.

"Jeden myśliwiec w pobliżu tuniskiego brzegu jednak skierował się prosto na nas i przeżyliśmy wtedy dobrą chwilę strachu", opowiadał potem gen Taylor. "Wkrótce jednak zawrócił i znikł nam z oczu." Wylądowano szczęśliwie pod Tunisem o godz. 7 wieczorem.

Misja Amerykanów dała w rezultacie poważne ułatwienia. Przeprowadzone w porozumieniu z Włochami operacje wojskowe miały zapewnione absolutne bezpieczeństwo. Otrzymane informacje pozwoliły skierować armię i przeprowadzić lądowanie na południu zupełnie bez strat.

Włosi również w porę uprzedzili Aliantów o zajęciu przez Niemców lotnisk pod Rzymem. Umożliwiło to wstrzymanie umówionego ataku wojsk spachronowych na stolicę Italii.

Czy wiecie, że...

Zródło: artykuł I. Matuszewskiego p.t. "Dwa budżety".

...Pół dnia wojny będzie dziś kosztować Amerykę tyle, wiele wynosił roczny budżet obrony Polski. Gdyby w ciągu minionych lat dano państwu naszemu tyle, co kosztuje dziś Amerykę na dni wojny, świat prawdopodobnie nie doznałby katastrofy. Błąd w rozumieniu stosunków europejskich był tak wielki właśnie, jak ta liczba, która wynika z porównania 109 bilionów amerykańskiego wydatku na wojnę ze 160 milionami polskiego budżetu obrony.

Nie wolno tego błędu popełnić po raz drugi. Cyfra 109 bilionów dolarów to właśnie mówi...

Podpisy
dyktatorów

Masaryk powiedział kiedyś: "Dyktatorzy zawsze wyglądają dobrze - oprócz w ostatnich ich 5-ciu minutach."

Zwykły podpis Hitlera.

Napoleon

Mussolini

Na drodze do sławy,
1804 r.

Benito Mussolini
Przed "Marszem na Rzym".
1922 r.

Mussolini
Po zawojowaniu Abisynii
w 1936 r.

Moskwa, wrzesień 1812.

Elba, wrzesień
1814.

Podpis z ostatnich
czasów.